

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 24 października 1914 roku.

№ 43.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

38

Powieść z obcego życia.

Szybko ściągnęła rękawiczkę i nie patrząc na narzeczonego, zdjęła z palca wspaniałą ciężką pierścionkę, od wików ze złości przechowywaną w rodzie de Chappedelain'ów, (Lucy nigdy nie pamiętała, która to właściwie z królowych Francji nosiła go w swoim czasie).

— Co robisz?! Pani, nie gub mnie...

Lucy zamierzyła się i cisnęła pierścionek daleko w kipiące fale. To niesłychane znieważenie świętości rodowej, niecofnioma zguba pierścionka złamały w Gustawie resztę nadziei.

Lucy oparła się o parapet. Porwała ją burza, wicher. Jakgdyby dopiero w tej chwili spostrzegła wspaniały, groźny obraz szalejącego oceanu. Zatopiła się w nim i zapomniawszy o wszystkim. W potęgę wicheru, w szaleństwo fal wyczuła dziękochłonie tamtego. Wyjrzało z otchłani straszne i święte wspomnienie zniewagi. Porwała ją śmiertelna, zapamiętała rozkosz świeżych, przeokropnych wspomnień. Znowu usta, rozjątrzone pocałunkami, znowu broczy krwią serce. Ugina się w porcorze pod ciężką zniewagą. Tarza się dusza w ostatnim poniżeniu swoim, całuje okrutne stopy, które ją depca.

Lucy w zapamiętaniu szeptała w przestrzeń jakieś skargi, modlitwy, błagania...

Porywał je wicher słowo za słowem i gubił w odmęcie.

— Zawsze, do śmierci będę ci wierna... Bądź błogosławiony, panie mój! Tyś mnie wznosił do nieba i cisnął w przepaść... Za wszystko ci dzięki! Do śmierci będę się modlić do ciebie. Przyjdź! przyjdź, jaki jesteś, i czyń ze mną, co chcesz! Błagam, nie opuszczaj mnie nazawsze... Pamiętaj o mnie, ostatniej niewolnicy twojej... Panie!

Wszystko dla ciebie uczynię! Bierz mnie, bierz moje przekłete bogactwa — daj jeno znak, jedno słowo zdaleka! Na koniec świata za tobą... A jeżeli już tak okropnie niecierpisz mnie nędznej i brzydkiej, przyjdź do twojego dziecka, które się ze mnie urodzi... Ono będzie piękne, godne ciebie...

Gustaw stał opodal. Już nie śmiał do niej przystąpić. Nie mógł jeszcze uwierzyć w ogrom swego nieszczęścia. Rady nie widział żadnej, ale czuł zarazem, że każda wpływająca chwila oddala go od jakiegokolwiek ratunku. Należy działać natychmiast! Papa Slazenger? Matka? Ci korzą się przed tym potworem...

— Rzucę się jej do nóg!... Udam, że chcę skoczyć do morza!... Wyszyci mnie... O Boże miłosierny, daj radę, poratuj mnie! Co ludzie powiedzą? O, hańbo!... Pierścionek Katarzyny Medycyjskiej... Potwór, potwór... Za tyle poniżenia i udreki. Bezecne straszdyło z piekła rodem!

Tu niepowstrzymany napad zwykłej na morzu choroby kazał mu zapomnieć o wszystkim. Posłuszny potęgę żywiołów kurczył się i cierpiał srodze piękny Gustaw, jak najzwyklejszy śmiertelnik. Długo mიაła nim nieprzeparta wola morza...

Aż w swoim czasie uspokoiła się wstrętna nawałnica. Gustaw przychodził powoli do siebie i dopiero wówczas położenie jego stanęło przed nim w całym swoim ponurym tragizmie.

To jeszcze nic, że utracił wszystko. Wszak ród de Chappedelain'ów przetrwał Wielką Rewolucję, gilotyne, konfiskaty i upokarzające tułactwo po obcych... Olbrzymie walki i wielkie zawody są udziałem ludzi o historycznym nazwisku. Ale hańba i poniżenie... Ale

okropna, niezdolna śmieszność jego położenia!

Porzucony, jak pies, pośrodku oceanu. Gorzej, niż pies. Musi, jak na pośmiewisko, jeszcze przez kilka dni jechać razem z nią, wleczony przemocą! Ta dalsza wspólna podróż wydała mu się już szczytem udęczenia. Radby się skryć pod ziemię, być o tysiąc mil od dręczycielki. Po co on teraz jedzie? Ha, ha, ha... Musi jechać aż do końca, to zupełnie proste i naturalne...

Burzyło się w nim wszystko przeciwko nieprzepartemu realizmowi życia. O mało nie płakał.

Nagle, ku zdumieniu jego, dopiero teraz stanęła przed nim w całej nagości istota kłeski. Wszak niby wiedział o tem, a jednak teraz, kiedy zdał sobie z tego sprawę, jako z rzeczy już dokonanej i przesądzonej...

...Upadł nisko, jak nisko!... Z wyżyn nadludzkiego istnienia, do którego już przywykł, jakgdyby od urodzenia władał miliardem, spadł z powrotem, jak z rozkosznego snu, do obmierzłej swojej doli nader bogatego — o ironio — człowieka, dziedzica jednej z magnackich — o, nędzo — we Francji fortun...

Wiedział, że z tą krzywdą losu nigdy się nie pogodzi. Przez całe życie będzie się dręczył. Okradziono go! Jest bankrutem i, chociażby niewiedomo co go spotkało, nigdy, przenigdy nie zapomni o tem, że kiedyś miał w ręku miliard i że go utracił.

— Nie!

Jego umysł nie mógł zgłębić straszliwej zjawy. Taki obrót sprawy wydał mu się nieprawdopodobnym absurdem.

— Lucy była w złym humorze, może wiaćkwo złym tym razem... Ale, żeby przez parę nieco ostrzejszych słów... Cisnęła mój pierścionek w morze, ale to jeszcze nic... Właściwie jeszcze nic się nie stało... Bo to już raz...

I widząc, że Lucy sunie wzdłuż poręczki ku schodom, rzucił się ku niej.

Odepchnęło go raz i drugi gwałtowne pochylenie statku. Lucy znalazła się wysoko ponad nim i pokładała szyderczo. Wybrał chwilę, kiedy pokład zaczął się wyrównywać, i nagle potoczył się po pochyłości wprost na dziewczynę. Mimowoli, poprostu szukając punktu oparcia, chwycił ją w obiecia.

— Lucy, dearling... Pardon me... Pity...

— Va t'en, crapaud! — otrząsnęła się dziewczyna. — Panie margrabi, proszę się uspokoić. Oprócz drogi powrotnej dostanie pan pewne odciepne i odszkodowanie. Już ja sama poproszę pany. Jeszcze mi niczego w życiu nie odmówił...

Nie jeden z gawiedzi, powtarzającej gorliwie i bezmyślnie plotki i legendy o demonicznej hrabiance de Calardeau i o lady Hartley, strpiłby się w swojej wszechwiedzy tajemnic wielkiego świata, zajrzawszy do wnętrza apartamentów, zajmowanych przez tragiczną wdowę na „Atlantic'u“.

O tej porze obie panie kłęzały we wspólnej sypialni przed wielkim podróżnym krucyfiksem z kości słoniowej i szepotały słowa litanii. Za każdym pochyleniem okrętu wizerunek odsuwał się nieco od ściany, na której był zawieszony, wykonując zarazem powolnie ruchy wahadłowe w obie strony. To zwyczajne na morzu zjawisko wywierało na rozmodloną lady Hartley dziwne, przejmujące wrażenie.

Jej modlitwa była pełną ekstazy i zapamiętania. Nigdy nie była do tego zdolna dawniej, dopóki tożnęła w błędach starego wyznania. Dopiero od paru tygodni spłynęła na nią łaska. Rozkosz modlitwy, błogość szczerzego wyznania swoich win i tajemnic, słodycz odpuszczenia grzechów i rozwiązania wszelkich ziemskich powikłań — były to nowe, bezcenne skarby, które wiozła ze starej Europy już na całe życie.

Wielka sprawa nawrócenia trzymana była narazie w tajemnicy. Lady Hartley w tych pierwszych czasach swojej radości chciała uniknąć rejwachu dziennikarskiego i nacisku opinii protestanckiej, która nigdy jej nie daruje odstępstwa.

Bez trudu, z łagodnością, która ją wzruszyła, kościół przychylił się do jej życzenia.

Przed chwilą zaś otrzymała telegram od kardynała-arcybiskupa, w którym książę kościoła oznajmił jej, że tam, o tysiąc mil, w kaplicy pałacowej arcybiskupiej modlą się za pomysłność jej podróży, coudziawszy się o burzy, szalejącej na Atlantyku.

Lady Hartley była wzruszona do łez tym nowym dowodem pamięci i opieki. W porywie uniesienia ukłękły obie i zaczęły odmawiać starą francuską litanie „za tonących i rozbitków, za zagubionych w prze-

strzeni morza“. Mariette czytała ją z maleńkiej książeczki, oprawnej w skórę jakiegoś bajecznego zwierzęcia i wspinała iluminowanej ręką przez słynnego artystę.

O życie i zdrowie własne były na „Atlantic'u“ naturalnie zupełnie spokojne, tembardziej przejmował je współczuciem los niezliczonych żagłowców i pomniejszych statków, które o tej porze ciężko walczyły o życie wśród przestworów oceanu.

Szeptać za Mariette proste i wzruszające stare wersety litanii za rozbitków, lady Hartley rozplywała się w dziękczynieniu za swoje szczęście, Dopiero teraz było ono zupełnie.

Ktoś mądry i sprawiedliwy przeirzał ją nawskroś i okazał jej wszystko, co w niej było, wszystko, co się w niej działo. Tajemnice, zagadki, troski i okropne momenty niepokojów sumienia, obawy przed widmem zmarłego męża i strach przed zewsząd otaczającymi wrogami.

Zdjęto jej z przed oczu mgłę, rozwiąną w duszy dręczący zamęt. Swoje szczęście ujrzała w całym jego blasku i ogarnęła je w całej pełni. Nawet ciężar majątku, który chwilami ją przytłaczał i nieomal gnębił swym ogromem, nie posiadającym sensu ani celu, teraz stał się błogosławioną potęgą.

Czynić dobrze... Budować dzieło boże na ziemi, uszczęśliwiać bliźnich...

Z jaką ulgą i rozkoszą rozdawała wielkie sumy na klasztory, szkoły duchowne i kościoły! Po raz pierwszy od wielu lat odczuła bezpośrednio radość z wydawania pieniędzy. A ileż jeszcze dzieł zbożnych czeka jej pomocy! Miła jej była wdzięczność ludzka, miła jej była tajemnica, która osłaniała swoją hojność, tak, aby, jak przystało na miłosierdzie chrześcijańskie, lewica nie wiedziała, co czyni prawica.

Do ziemskiego, czysto ludzkiego uwielbienia, jakie miała dla Mariette, przyłączył się tajemniczy, ekstatyczny poryw, który nakazywał jej widzieć w dziewczynie jakieś odbicie bóstwa, niemal jego częściowe wcielenie.

Przez nią to spłynęła na nią łaska prawdziwego poznania. Różni ludzie w rozmaitych czasach opowiadali jej o prawdzie, rozmaicie, nieraz niezręcznie nakłaniali ją ku wierze. Ale dopiero ta cudna dusza znalazła natchnione słowo, które przebiło mur obojętności.

Wiara złączyła je teraz nierozdzielnie. Bo już sobie uroczyście zaprzysięgły i ślubowały, że się nie opuszczą, aż do śmierci.

W tych ostatnich czasach lady Hartley lubiła stroić Mariette jako świętą: rozpuszczała jej włosy, drapowała na niej białą tkaninę, sama zawiązywała rzemyki sandałów na jej stopach, wkładała palmę w rękę. Godzinami mogła wpatrywać

się w nią w ekstazie. Modliłaby się do niej, iak do prawdziwej świętej — ale Mariette nie pozwalała na to jeszcze.

Lucy Slazenger wpadła do nich, iak zwykle, bez żadnego oznajmienia, nawet bez stukania, i przerwała swawolnie litanie.

— Dosyć tego, moje drogie! Hrabianko, do czego to podobne modlić się w dzień? O co wam idzie? Czego wam brakuje? Jakież wy śliczne obie... —

Zaczęła szarpać się z nimi i dźwigać je z kłęczek, poczem przewróciły się wszystkie trzy i wśród śmiechu potoczyły się w kąć do pochyłej podłozce.

— Lucy! Niegodziwa! Wiesz, że mamy przez ciebie grzech? Obrzydła heretyczka!...

— Hrabianko! Na wszystko, jak widziś, pozwalam, ale iak mi Adę namówisz do klasztoru, to tak was urzędę, że ciasno wam się obu zrobi w Ameryce!

— Do klasztoru? O wiem, żem tego nie godna... —

— I ja wiem, ale swoją drogą, Ado, za długo już bawisz się w to nabożeństwo.

— Ja się bawię!

— Weź się lepiej do teozofii. To nowsze i jeszcze bardziej tajemnicza i jeszcze mniej w tem sensu.

— Prawdziwa obrzydliwość amerykańska.

— Mniejsza o to. Wiesz, Ada, dopiero co odprawiłam margrabięgo. Rozpacza tam na wietrze i w obrzydliwy sposób choruje.

— Niegodziwa! Co ty z nim wyrabiasz? Dlaczego to uczyniłaś? Biedny!...

— O, biedny, boję się, żeby mi się nie rzucił do morza. Tak mnie bezgranicznie kocha...

— Ale swoją drogą, piękniejszego i wytworniejszego nie znajdziesz już, Lucy, na całym świecie.

— Wolalabym goryla, niż jego. Małpa uroczysta! Obrzydliwa lala! Zwyródniały, bezwstydnny paciak!

— Lucy, dosyć, na miły Bóg! Trochę nie tak po amerykańsku, jeżeli łaska...

— Bardziej szanuję żydka z Broadway, który za pół dolara przelezie na czworakach przez cały most aż na Brooklyn... Ostatni fagas ma więcej honoru... —

Nagle ustało rytmiczne, głuhe wycie śrub, które przez cały czas podróży nurtowało w głębi statku. „Atlantic“ zaczął przechylać się silnie, inaczej. Z górnego pokładu dochodziły krzyki i tupot licznych nóg.

— Co się stało?

— Widać lody bardzo blisko.

— Chodźmy zobaczyć! Ubierajcie się ciepło. Predziej — nagiła Lucy.

Po chwili garderobiana Ady wpadła z płaczem, wołając, że jakiś gentleman przed chwilą skoczył do wody. Lucy pobladała. W korytarzu

wewnętrzny steward okrętowi uspokajał podróźnych, wypadających z numerów.

— Ależ żadnego niebezpieczeństwa. Panowie!

— Sam widziałem, jak spuszcza! łódź!

— To zwyczajna próba alarmu; zawsze to czynimy w tej szerokości. Ależ panowie...

— Nie łyży! Co się stało? Mówić prawdę!

— Wypadek. Wpadł ktoś do morza. Fala go zerwała.

— Już go wyciągają!

Pasażerowie gromadą biegli ku schodom, zataczając się i przewracając po kołującej podłodze. Lucey pędem przebiegła schody i zetknęła się — z Gustawem. Powitała go wybuchem śmiechu, zawstydzila się swojej naiwności i chciwie spojrzała za burzę.

Niedaleko, o jakieś dwieście metrów, wyraźnie widziała czarna plama znikająca i wynurzająca się wśród białych grzebieni fal. Czarny kształt uporczywie, jak pływak, grzebał ramionami. „Atlantic“ zataczał się gwałtownie, niezgrabnie, zwolna obracał się na miejscu, starając się podplynać bokiem ku czarnemu punktowi. Maszyna porykiwała urwanymi dźwiękami. Śruba warczała z wysiłkiem, aż cały statek drgał, i przycichała nagle. Zewsząd, z dołu i z góry, przy całej długości okrętu, jak grad, spadały się na wodę kłosa ratunkowe.

Wieżę o samobójstwie Osias'a Murway'a rozeszła się błyskawicznie po całym statku, od salonów pierwszej klasy na szczycie okrętu aż do kotłowni, na samym spodzie. W halach międzypokładowych już krążyły legendy i niestworzone bajdy o wypadku.

Stary emigrant, bywalec, opowiadał szeroko i z niezbitym przekonaniem, cytując daty i fakty, i wyrażając komuś kosmatymi pięściami, o pamiętnym krwawym strajku w Colorado, gdzie ten sam

Murway kazał strzelać milicji i „psiarni Pinkertona“. Zginęło dwudziestu pieciu robotników, osiem kobiet, troje dzieci, a sześćdziesięciu pieciu było rannych! Za te zbrodnie spotyka go teraz kara — szkoda, że tak późno. Po nocach nie sypiał, przestało go radować bogactwo. Sumienie go gryzło, aż zagryzło. Dobrze mu tak!

Inni krzyczeli, że tamten w Colorado był to zupełnie inny Murway, a nawet nazywał się zgoła inaczej, i żyje dotąd w bogactwie i dobrem zdrowiu.—Wszystko jedno — obstawali inni — to za innych go Bóg pokarał, za grzechy pokolenia, za niepomiernie bogactwo. Jaki Bóg? Gdzie ten Bóg? — odzywały się szydercze głosy. I tak dalej.

— Co wy na to? — pytał Niemego sąsiad niemiec — i czego to jeszcze taki do wody skacze? Co zechce, wszystko ma. Chyba na te chwile zwarował z wielkiej rozkoszy, albo pijany był. Żebym całe moje życie i jeszcze przez sto lat myślał i głowę sobie łamał — nigdy tego nie zrozumie.

— Et, myśleć tu niema nad czym. Nie żałujcie go, bo on sam najlepiej wiedział, co mu było robić. Powiem wam, że on tu dziś był najmądrzejszy, on jeden z całego okrętu...

— To niby jak?...

— On jeden będzie się dziś ze mnie śmiać.

— Kogo? Jak powiadacie?

— Nic. Zobaczycie sami.

Dłużej niż godzinę pracowano nad wyratowaniem tych, którzy się rzucili w morze za desperatem. Dwóch dyżurnych i paru z osady, którzy poszli już na ochotnika, długo czernieli jako ruchome punkty na sinym przestworzu wód, ciskami i zalewani przez mroźne fale. Jedna łódź strzaskało o bok okrętu. Wreszcie za pomocą haków dobyt ich jednego po drugim nienrzuconych z przemarznięcia, bezwładnie unoszonych na wodzie przez pasy bezpieczeństwa.

Znowu zawarczały i zaczęły wyc głucho, ekliwie śrubby. „Atlantic“ odnalazł swoją drogę, obrócił się dziobem ku WNW i ruszył dalej całą siłą, rozorując i rozgniatając wzgórza wodne, zapadając się po nachyłościach w głębokie kotłiny i zionąc dymem ze swoich czterech kominów. Na przednim maszcie dla uczczenia pamięci tak znakomitego obywatela na przeciąg jednej godziny zniżono do połowy wysokości gwiazdzistą banderę. Wieść o katastrofie, przesłana drogą powietrzna, poleciała w przestrzeń.

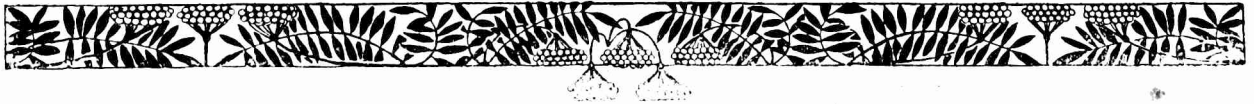
Na tysiąc sposobów komentowano wypadek. Osobiści znajomi, których na „Atlanticu“ była spora garść, pograżeni byli w tępem zdumieniu, Osias Murway, człowiek zrównoważony i głęboko rozumny, filozof, typ rzadki w swej sferze, znawca i zapamiętały miłośnik piękna, namiętny zbieracz, propagator sztuki, przyjaciel sir Johna Ruskina, osoba szanowana we wszystkich środowiskach artystycznych Europy!...

Pracowitość jego słynęła w sferach, umiejących mierzyć ludzką pracę. Jego skromne, niemal ascetyczne życie przy kolosalnych, nieprzebranych dochodach, zdrowie fizyczne i moralne, radość życia, która w sobie nosił i o której lubił rozprawiać w kołach zblazowanych klubmenów — wszystko, cokolwiek wiedzano o nim, przeczyło iaknajbardziej tej samej możliwości podobnego końca.

Jednak fakt pozostał sobą. Osias Murway przepadł własnowolnie w pustyni oceanu i każdy obrót śrubby oddalał od fatalnego miejsca ludzi, gubiących się w domysłach, stawiających naiśmielsze i najśmielsze hipotezy i spierających się zawzięcie.

Nie zostawił ani świstka, ani słowa, ani znaku. Zadał ludziom drecząca zagadkę. Tajemnica Osiasa Murway'a utonąła wraz z nim w niezgłębionej otchłani oceanu.

DCN.



IAN SOKOLICZ WROCZYŃSKI.

Na witrażu.

Kwiących wiśni drży arkada;
księżyc aleje w cieniu znaczy,
na stary witraż blaskiem spada,
w witrażu świętej twarz majaczy...

Z rozkwitłych krzewów białe puchy,
noc jasna miękka dłonią straca,
spadają srebrnych gwiazd okruchy,
o brzeg uderza fala drżąca...

Upalnej nocy bań się snuje...
Królowna z paziem w parku gwarzy —
paż zwiewnej szaty haft całuje —
twarz świętej płonie wśród witraży...

U stóp królowny wyznań słowa
paż składa, płonąć, złotowłosa —
woń w starym parku drży lilowa,
na kwiatkach błyszczą perły rosy...

Ust się złączyły dwa płomienie...
klasztornych dzwonów płyną echa —
przecudną parę kryją cienie;
posąg się Venus w dal uśmiecha...

Sadzę również, iż dlatego, że byłam tak szczęśliwa, i rysy moje odzyskały dawny swój wyraz. Dowiedziałam się o tem pewnego poranka, gdy, zatrzymawszy się na chwilę u okna, usłyszałam kogoś mówiącego:

— Nasza pani od czasu, gdy dziecko przyszło na świat, jest jeszcze piękniejsza.

Nie byłabym kobietą, gdybym pozostała obojętna na to: poskoczyłam do zwierciadła, by zobaczyć, czy jest to prawda. Było to prawda istotnie.

Brzydkie zmarszczki, które znaczyły twarz moją, znikły bez śladu, włosy odzyskały dawny swój połysk kruczcy, a oczy stały się nie spodziewanie przeźroczyste, jak ciemny pokój po otwarciu okiennic, gdy promienie słońca napłyną do niego.

Ale przyjsięcie dziecka sprawiło znacznie więcej jeszcze. Powróciło mi ono Bożu, przed którym czułam się obecnie tak korna i tak szczęśliwa, gdyż ono przeobraziło świat dla mnie.

Każdy katolik domyśli się, dlaczego nie udałam się po błogosławieństwo do kościoła, urodziwszy dziecko; będzie on wiedział zarazem, dlaczego byłam w gorącym niepokoju, by, jak można najprędzej, ochrzcić moje dziecko. Nie — iżbym obawiała się o jego życie, (nie myślałam nigdy o tem naówczas), lecz, iż żyłam w grozie niebezpieczeństw, które zaciemniały me myśli, zanim jeszcze ono na świat przyszło.

Gdy więc już dziecic miało około dwóch tygodni, napisałam do proboszcza najbliższego kościoła katolickiego, zapytując go, kiedy mogę przynieść dziecko do ochrzczenia, i otrzymałam zaraz drukowaną odpowiedź, naznaczającą dzień i godzinę, z dołączoną obok karta do wypełnienia nazwiskiem i innymi szczegółami, dotyczącemi mej osoby.

Dzień chrztu — dzień jeden zachwytu! Wstałam razem ze słońcem w tym dniu i odrazu zabrałam się do ubierania mego dziecka.

Jakżeż prześlicznie wyglądało ono, gdy ukończyłam już moją robotę! Było ono, zdaniem mojem, najpiękniyszem zjawiskiem na świecie, piękniyszem od pączka różanego w przybraniu świeżych ros porannych, gdy słońce wschodzące rzuci na nie swe blaski.

Gdy już przystroiła je w śliczne szatki, które sporządziłam, zanim przyszło na świat; ubranko do chrztu, i płaszczyk, i kapturek dziany ze wstażkami, i welon powłóczysty — podniosłam je do lustra, by je wraz z sobą zobaczyć — i by-

łam sama, jak dziecko, tak dziko, tak szaleńczo szczęśliwa.

— Stary proboszcz nie uirzy nigdy nic podobnego w taki poranek letni — pomyślałam.

A potem dzień w kościele!

Słyszałam, że matki niezamężne, wychodzące po raz pierwszy po połogu, czują się stropionemi i zawstydzonemi, iakgdyby każdy przechodzień znał ich tajemnice, taka pełna sromu. Ja również byłam czemuś w rodzaju niezamężnej matki, ale, dzięki Bogu, nie czułam nic podobnego. Czułam się, owszem, dumna i wesola, i gdy wyszła z dzieciatkiem mem na reku, zdało mi się, że wszyscy z naszej ulicy patrzy na mnie życzliwie — i każdemu też z przechodniów radabym mówić „Dzień dobry“.

Kościół nie był w dzielnicy przyziemnej. Stał on na skraju biednej i ludnej ulicy, z roinemi traktierniami tuż naprzeciwko. Gdy weszła do niego, zastałam już pewną liczbę innych matek (same wyrobnicze), ze swemi dziećmi i rodzicami chrestnymi, w które się zopatrzyły, oczekujących u drzwi kościelnych.

Na widok ten uczułam się bardzo stropiona, tyle bowiem myślałam o różnych innych rzeczach (z których te lub owe były może zbyt puste), iż na śmierć zapomniałam o potrzebie chrestnych rodziców. I nie wiem, iakbym dała sobie z tem rade, gdyby nie przyszedł mi z pomocą zakrstvan, który znalazł dwoje staruszków, gotowych za drobnego szylinga trzymać do chrztu moje dzieciatko.

Wkrótce przez kościół nadzedł ksiadz w białej komży i stule; i wtedy staneliśmy gronem u wejścia do nawy, by odbyć wstępna cześć obrzędu.

Jakaż to była próba dla mnie! Od mego ślubu nigdy dotąd nie byłam w stanie takiej podniety duchowej.

Zakrstvan, okazując mi pewne względy, umieścił mnie w środku nawy, tuż nawprost księdza, tak, iż nie widziałam, co się działo z innemi dziećmi, oczy i uszy mając jedynie zwrócone na chrest mego dziecicęcia.

Było w tem trochę błędu, ale to mnie nie zmąciło wcale, chociaż jeden z nich był dosyć ważny.

Gdy ksiadz zapytał: „Jakie imię dajesz temu dziecku?“, wręczyłam zakrstvanowi kartę proboszcza i wyszeptalam: „Izabela Marya“ do matki chrestnej. Wślad zatem usłyszałam:

— Maryo Izabelo, czego żadasz od Kościoła bożego?

Ale o cóż tu chodzi? Przecie o nie innego, iak tylko o to, by moja

droga dziecina była zbawiona przez moc Sakramentu Świętego od trwogi ciemnej, która jej groziła.

O! Chrest dziecka — to rzecz dziwna i straszna zarazem, gdy kto wierzy w niego szczerze i istotnie. Ja wierzyłam — wierzyłam z głębi duszy i serca — i z głębi też ufałam.

W szczęściu mem poświęconem płakałam przez cały czas prawie, gdyż, przypominam sobie, zdziawszy kapturek dziecicęcia i trzymając go przy ustach, po chwili spostrzegłam, iż cały Iżami zroszony.

Gdy minęły już egzorcyzmy, ksiadz położył koniec swej styły na ramieniu dziecka i wprowadził je (i jak mówią nasze modlitewniki) do kościoła. Za nim wszyscy udaliśmy się do chrestniicy, gdzie natychmiast ukleknęłam naprzeciwko zbiornika wody, z rodzicami chrestnymi przedemną, a inne matki z innych stron, z gronem kwilacych dzieciatek.

Kościół był pusty; prócz dwu posługaczek kościelnych, zamiatających podłogę nawy gdzieś koło ciemnego i milczącego ołtarza, nikogo nie było naokół; — i gdy zakrstvan zamknął drzwi odewnatrz, zaległa cisza uroczysta, przerywana iedynie głosem księdza i odpowiedziami rodziców.

— Marvo Izabelo, czy wyrzekasz się Szatana?

— Wyrzekam się.

— I wszyskch czynów jego?

— Wyrzekam się.

— I jego wszyskch próżności?

— Wyrzekam się.

Sam chrest był dla mnie, iak iedna modlitwa. Jestem pewna, że cała moja dusza wzbiegła ku niemu. I iakkolwiek byłam, wiadomo, kobieta grzeszna i niegodna łaski, wiem o tem iednak i Bóg wie o tem, że żadna zakonnica nie modliła się nigdy czystszzem sercem, iak ia to czyniłam, kłęczac z kapturekiem dzieciny przy ustach.

— Marvo Izabelo, ia ciebie chrzczę w imię Oica † i Syna † i Świętego Ducha †.

Prócz tego, że dziecko trochę zakwiliło, kiedy woda bryznęła na jego twarz (zakwiliło również, gdy ksiadz złożył sól na jego języku, nie wiem nic zgoła, co się działo, aż do chwili, gdy w irzała świeca w reku oica chrestnego (co oznacza, iż me maleństwo stało się dzieckiem Święta) i usłyszałam słowa księdza:

— Idź w pokoiu, niech Bóg będzie z toba.

Wtedy ocknęłam się, iak z zachwycenia. W kościele zaszurgotano nogami. Ksiadz odszedł. Obrządek uroczysty skończony.

Powstałam z kolan, złożyłam mój grosz wdowi na tacy, z która zakrstvan się zbliżył, dałam po szylingu każdemu z chrestnych rodziców, wzięłam znów dziecko na

rece i siadłam w głębi na ławce, by włożyć mu znów kapturek i welon.

Podnieci ducha trwała jeszcze i opuściła mnie dopiero na ulicy, gdzie inne matki wraz z kumami i kumoszkami śmiały się i droczyły głosami, które zapanowały odrazu nad gwarem piwiarni, naradzając się, do którego z domów pójść naprzeciwko, by *oblać* chrzciny swych małych.

Przypuszczam jednak, że coś z niebiańskiego światła sakramentu musiało spłynąć na moją twarz, bo, gdy wróciła do domu i zakolałam, oczekując na otwarcie drzwi, usłyszałam jedną z mych sąsiadek, mówiącą:

— Pani nasza zaczęła nowy okres życia. Czyż nie?

Sądze, że tak. Wielki okres życia fizycznego i duchowego.

Lecz ja mało wiedziałam wtedy, co los mi jeszcze gotował.

Rozdział LXXX.

Zdjęłam właśnie odświętne szaty z mego dziecka, gdy do pokoju weszła moja gospodyni, Waliłka, żeby zapytać, *jak tam poszło*, a gdy mi jej opowiedziała, rzekła:

— No, a teraz trzeba, żeby pani wpisała swój skarb do ksiąg ludności.

— Do ksiąg ludności?

— Termin trzytygodniowy. Takie prawo, proszę pani.

Po raz pierwszy zaniepokoiłam się. Wypełniłam wszak z całą prawdą blankiet, przysłany mi przez proboszcza, uważałam bowiem, iż wpisanie dziecka do kościoła jest tak święte, jak spowiedź.

Ale publiczna deklaracja urodzin mego dziecka i jego paranteli — to zgółta co innego, to coś, co pociągaa wielkie następstwa dla mnie, dla Jurka, spada na głowę mego dziecka, a co cieniem legło na mem życiu, zanim przyszło na świat.

Niejedną raz brała mnie pokusa skłamać, uczynić fałszywe zeznanie, rzec, że Jur był mym mężem legalnym, a Izabela mem dzieckiem ślubnem.

Wkońcu jednak zdecydowałam się rzec prawdę, prawdę całkowitą, krzepiąc się, iż prawo Boże jest ponad prawem ludzkim i że nie miałam powodu do wstydu.

W tem usposobieniu udałam się do kancelaryi parafialnej.

Była ona daleko od miejsca, gdzie mieszkałam. Niosąc dziecko na rękę, zmęczyłam się, zanim doszłam.

Był to rodzaj prywatnego domu, z sienią otwartą i z tablicą przy niej, na której białymi literami, odbijającymi raząco od czarnego tła, widniało: *Zapisał urodzin i śmierci*.

Nawprost rozmównica, w niej opodal stół duży za kratkami, pokryty papierami.

Dwóch panów siedziało przy stole, jeden stary i drugi młody. Gdy wchodziła, przypominam sobie, stary czytał coś głośno młode-

mu z gazety, którą trzymał rozłożoną w rękę, i młody, właśnie gdy wchodziła, rzekł te słowa:

— Nadzwyczajne zdarzenie! A wszyscy myśleli, że zginął!

Pomiedzy drzwiami i kratkami oczekiwały dwie kobiety. Obie biedne i brzydło wzburzone. Jedna z nich miała dziecko na rękę, i gdy ono zakwiliło, rozpięła bez ceremonii stanik i karmiła je piersią obnażoną. Druga kobieta, której oczy były czerwone, jakgdyby od ciągłego płaczu, miała na sobie kolorowy słomiany kapelus, który, by gwałtem uczynił czarnym, przybrała niezdarne tanią krepa żałobną.

Zrobiwszy już swoje i nie spiesząc się wcale, młody pan powstał i zbliżył się do kratki. Był to bardzo pospolity niższego rzędu kancelista, w ubraniu, zwiastującym tanią tandetę, wyglądający na bardzo znużonego swa jednostajną robotą i niezdarciacy sobie zgółta sprawy, że w każdej chwili dnia staie przed ochłania burzliwej duszy ludzkiej.

Otworzywszy jedną z ksiąg, które leżały na biurku (*księge urodzin*), zwrócił się najpierw do matki z dzieckiem. Dziecko było nieślubne; kobieta w swych zeznaniach jąkała się i bakała, a on ją poprawiał niegrzecznie.

Następnie otworzył drugą księgę (*księge zgonu*) i oczekiwał na kobietę w żalobie. Straciła ona dziecko dwuletnie i przyniosła zaświadczenie lekarskie. Podając szczegóły, wzięła brudną chusteczkę i przyciskała ją do ust, by powstrzymać łkanie, młody jednak urzędnik nie był tem zmaczony.

Nie wiem, czy to nerwowy stan tych dwu kobiet tak podział na mnie, ale, gdy przyszła moja kolej, zrobiło mi się goraco i drżałam.

Młody urzędnik jednakże, który teraz dopiero spojrzał na mnie, stał się odrazu uprzejmym. Z grzecznym ukłonem i uśmiechnięty, zapytał mnie, czy przychodzę w sprawie wpisania dziecka do ksiąg, a gdy odrzekła, że tak, poprosił, bym była łaskawa przybliżyć się do kratki.

— Jakież jest imię dziecka — łaskawej pani? — zapytał.

Oświadczyłam mu imię. Zanurzył pióro w metalowym kałamarzu, strzasnął na ziemię kilka kropel, zrobił u góry książki kilka esów - floresów i napisał:

„Marya Izabela“.

— A teraz, — rzekł, również z uśmiechem — całkowite nazwisko, rodzaj zajęcia i miejsce zamieszkania ojca.

— Jerzy Conrad, marynarz, zmarły.

Młody urzędnik raptownie spojrzał na mnie.

— Jerzy Conrad? Czy dobrze słyszałem, proszę pani? — zapytał.

Na chwilę zdławiło mnie coś w gardle, ale wnet opanowałam się.

— Tak jest — odrzekłam.

Zatrzymał się chwilę, myśląc. Potem zamaszycie, z temi samymi

esami - floresami, wypisał nazwisko, i gdy już to uczynił, zerknął ku starremu panu, który siedział u okna, i rzekł głosem, bym, jak sądził, nie mogła dosłyszeć:

— Szczególny zbieg okoliczności, nieprawdaż?

— Szczególny — rzekł stary pan, pochyliwszy gazetę, i spojrzał na mnie z ponad skraj u swych szkieł.

— A teraz, — rzekł kancelista — pani nazwisko i nazwisko panięskie, jeśli łaska.

— Marya O'Neill.

Młody urzędnik znów spojrzał na mnie. Trzymałam dziecko na lewym rękę i spostrzegłam, że oko jego wybiegło ku mej obrączce.

— Marya Conrad, z domu O'Neill, czy tak, proszę pani? — zapytał.

Jeszcze raz zawałam się. Dawa pokusa znowu podstałiła. Odepchnęłam ją jednak gwałtownie, by mówić całą prawdę (lub to, co było prawdą w mojem przekonaniu) i oświadczyłam:

— Nie, tylko Marya O'Neill.

— Ach, tak! — rzekł kancelista, i odczułam, że zmienił odrazu ton i zachowanie.

Przez kilka minut była cisza głęboka, podczas której kancelista wypełniał blankiet i czynił kopię, którą miałam wziąć z sobą.

Słyszałam szeleści pióra młodego kancelisty po papierze, chrobotanie gazety starego urzędnika, puste tik-tak okrągłego zegara na ścianie, głuchy szum uliczny i kołatanie mego własnego serca.

Wreszcie metryka była gotowa; wezwał mnie do podpisania.

— Proszę tu podpisać, — rzekł tonem całkiem już innym, wskazując palcem próżne miejsce na stronicy księgi.

Podpisałam drżącą ręką, nawpół tylko przytomna.

Zaledwie pamiętam, co było potem — jak stałam w sieni otwartej, układając dziecko na rękach do powrotnej drogi i powtarzając sobie w duchu, iż teraz złożyłam pieto na niem, które już zostanie aż do końca życia.

Đługa to była, pomnę, ta droga powrotna i, kiedy wreszcie dotarła już do domu (ogładając się na prawo i na lewo, gdyż zdawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie), czułam, że mam mgłę w oczach i ból w gałkach ocznych.

Dnia tego nie śpiewałam całkiem, i dziecko, jak mi się zdawało, było niespokojne.

Zanim noc zapadła, przeszedłam przez straszna próbę.

Przygotowałam już Izabełę do łóżka, gdy naraz uirzałam na lewym policzku jej twarzy znak czerwony, jak oparzelizny.

Zrazu myślałam, że to tylko chwilowe podrażnienie skóry, ale kiedy nie zniknął, wezwałam moją gospodynię, żeby to zobaczyła.

— Czy widzi pani tę plamę na policzku dziecka — spytałam i z za-

trzymanym oddechem czekałam na odpowiedź.

— No... tak... owszem. — odrzekła — jest to, być może, czy ja wiem... może to znamie rodzinne...

— Znamie rodzinne?

— Czy pani nie uderzyła się w twarz, gdy dziecko miało przyjść na świat?

Odrzekłam coś, nie zdając sobie sprawę, ale jednocześnie prawda, lub to, co miałam za prawdę, jak piorun, błysła mi krwawo w myśl.

Przypomniałam sobie ostatnią noc w Castle Ra. scenę okrutną, jaką tam nastąpiła, i zrozumiałam, że plama, która była na policzku dziecka, jest śladem ręki mego męża — czynu, który na mnie nie zrobił wrażenia, ale który odbił się na moim dziecku i pozostanie na nim aż do końca życia, jako plamię hańby jego matki i znamie tego, co zwie się bękartwem.

O, jakże cierpiałam na widok tego znamienia! Jak długo w noc czuwałam, pochylona, nad śpiącym dzieckiem, by się przekonać, czy czasem nie znika. Jak gorąco modliłam się bez przerwy, kłęcząc nad niem, i prosząc Boga, by, jeżeli grzech mój ma pociągnąć karę, niech kara ta spadnie tylko na mnie i nie dotyka mego dziecka.

Wspomniałam wreszcie na chrzest dziecka i mówiłam sobie w duchu, że jeżeli ma mieć jakie znaczenie, to nie inne, jak to, że grzech, w którym dziecko zostało zrodzone, i grzech tych, którzy byli przed niem (jeżeli było to grzechem), został już zgładzony z duszy dziecka wraz ze złem duchami, które do grzechu natchnęły.

„Znamie krzyża świętego †, które czynię na twym czole, sprawia, iż ty, przeklęty szatanie, nie bedziesz miał władzy nad niem”.

Prawo Boże obmyło do białości moje drogie dziecko! Czem są prawa ludzkie — ta pyszna i bezliłotna moralność? Czyż mogą je ukrzywdzić? Czyż mogą je uszkodzić? Zaprawdę, przienigdy!

To mnie umocniło. Gdy znowu spojrzała bacznie na dziecko, znamie zniknęło. Położyłam się do łóżka, prawie że szczęśliwa.

Rozdział LXXXI.

Na drugi dzień zrana, o ile sobie przypominam, przyszła pielęgnarka, która mnie doglądała w połogu, aby się dowiedzieć, co się u mnie dzieje.

Powiedziałam jej, że ćmi mi się w oczach i czuję ból w gałkach ocznych, na co ona rozłożyła rękę i rzekła:

— A co! nie mówiłam! Czy nie mówiłam pani, że wszystko to się później odbije?

Sens moralny tej przepowiedni był ten, że będąc bardzo wątpliwą i „zaniedbawszy” się, zanim dziecko przyszło na świat, muszę obecnie odstawić je od piersi.

Nie mogłam tego uczynić.

Chociaż zdanie pielęgniarki było podrzynane przez moją gospodynię (z różnymi zapowiedziami — suchot i skrofulów), nie mogłam narazie wyrzec się szalonej przyjemności karmienia własną piersią dziecka.

Ale wkrótce przyszło surowsze ostrzeżenie, które mi powiedziało, że muszę to uczynić. Zasób mój pieniędzy dochodził już do wyczerpania, zostawało mi już niewiele więcej nad dwa funty — i oto konieczność zarobku (którą tak długo odkładałam) stanęła mi jawa w oczy.

Nie mogłam starać się o zajęcie, dopóki nie znajdę mamki dla mojej małej, i nie mogłam szukać mamki, dopóki dziecko nie mogło się obejść bezemnie, i oto, gdy Izabela miała już trzy tygodnie, zaczęłam odstawiać ją od piersi.

Zrazu zadowoloniłam się jedynie godzinami nocnymi, dając do łóżka małej butelkę z ssakiem, napełnioną mlekiem, ogrzanem do temperatury mojego ciała. Gdy jednak dziecko poczyniło w nocy płakać, domagając się piersi, nie miałam jej serca odmówić.

To odwlekało czas odstawienia od piersi nieco dalej, niż zamierałam; wodłam jednak sama ze swem sumieniem układy, wciąż większe czyniac oszczędności na mych zapasach pieniężnych.

Mamże mówić, jak to czyniłam?

Chociaż był to miesiąc lipiec, nastał jednak okres dokuczliwych chłódów, znanych mieszkańcom Londynu, nie pozwalałam sobie tedy na palenie w piecu, a do gotowania pokarmu kupiłam za szylinga maszynkę spirytusową.

To doprowadziło mnie do kroku, który miał oddać swe następstwa, i wstyd mnie przeimuje i rodzaj grozy nawet, gdy mam o tem mówić. Ponieważ powijaki i koszulki mego dziecka były w bardzo małej liczbie i często je prałam, więc w braku ognia suszyłam je — na wiatrem ciełe.

Wzięszy widzę, jak krok ten był niezważny i prawie szaleńczy, lecz wtedy nie zastanawiałam się nad tem zupełnie. Byłam biedna, byłam, być może dumna, a nie mogłam pozwolić sobie na ogień! A zresztą, miłość matki głęboka, jak morze, i nie było zgola rzeczy na całym świecie, której bym nie dała, byle choć trochę dłużej zatrzymać moją dziecinę przy sobie.

Gdy dziecko wreszcie zostało odstawiłone od piersi, musiałam pomyśleć o mamce, a nie było to zadanie łatwe. Oddać moje dziecko innej kobiecie, by była ona dla niego drugą matką, było to czemś nad moje siły i nad moje pomyślenie nawet.

A jednak musiałam pomyśleć o tem. Mogłam to jedynie uczynić, mówiąc sobie, że oddawszy dziecko na wykarmienie, urządzę się tak, iż będę codziennie zrana i wieczorem

widywała je, o ile tylko pozwolą na to moje zajęcia i praca na byt.

Myśl ta pogodziła mnie częściowo z moim poświęceniem, i właśnie zdobywałam się na akt heroiczny napisania ogłoszenia do dziennika, gdy weszła moja gospodyni i oświadczyła, że zna kogoś, kto całkowicie zadowoli moje wymagania.

Wezwwana mamka przybyła tegoż wieczora i opowiedziała mi długą historię o swej rodzinie i swoich przyjacielach.

Była to niejaka pani Oliver, mieszkała ona w Ilford na drugim końcu Londynu i prawie na skrajną okolicy. Biedna kobieta nieszczęśliwie wyszła za małż i straciła niedawno dziecko; była teraz bardzo samotna i cała oddana dzieciom.

Przypadło to najzupełniej do mego przekonania, głównie zaś (niech Bóg mi to przebaczy!) fakt, że pani Oliver była osieroconą matką i mieszkała na kraju okolicy.

Przed duszą moją oczyma widziałam już ją siedzącą w piękny dzień słoneczny pod drzewem w ogródku z Izabela na rękach, kołysząca ją słodko i śpiewając jej kolysanki, i prawie zapominając, że nie jest to jej dziecko, które utraciła... chociaż był to miecz obosieczny, który ranił mnie podwójnie, coś, jak radość szalona, zmieszana ze łzami gorzkimi.

Wzięłam tedy adres od pani Oliver (o Lennard's Row, Lennard's Green, Ilford) i tej samej nocy jeszcze napisałam do niej, pytając o warunki i podając swoje wymagania.

Odpowiedź przyszła następnego dnia. Był to list, bardzo nieortograficznie napisany, który wskazywał, że pani Oliver musiała być biedną wyrobnicą (może wdowa po ogrodniku lub po kolonijście, jak przypuszczałam). Nie zaniepokoiło mnie to jednak, gdyż wiedziałem, jak prości ludzie kochają swoje dzieci.

„Warówki cztery szelingi na tydzień”, pisała, „jezdem tak smotna odkod zmarło moje, że wzienabym zadarmo gdziebym mogła w widzieć może pani ile sobie podoba”.

W nieświadomości mojej i prostocie byłam całkiem tym listem ujęta, odrazu też odpowiedziałam, że dostarczę dziecko w najbliższych dniach do Ilford.

Zrobiłam to w uniesieniu, gdy jednak nadeszła chwila ostateczna, zaledwie starczyło mi odwagi, by wysłać list — i pomnę, że minęłam trzy skrzynki do listów, zanim zdecydowałam się wreszcie odnieść go osobiście na stacyę pocztową.

Oczy moje musiały być bardzo czerwone, gdy powróciłam do domu, gdyż moja gospodyni (która wtajemniczyłam co do mych środków pieniężnych) skarciła mnie za płacz, mówiac, iż powinienam raczej dziękować Bogu za to, co się stało, gdyż było to istotnie iakby z nieba zesła-

ne, *proszę pani*, i jako *Opatrzność Boska*.

Staralam się widzieć rzeczy w tem świetle, chociaż to było bardzo trudno, gdyż, im ciemniej i niewiadomiej otwierała się przedemną przyszłość, tem promiennie na jej tle jaśniała postać mego aniołka, którego życiem żyłam, i tem ciężiej było mi żyć bez niego.

— Przekład to nie strata dziecka. — rzekłam, pocieszając się.

— Co znowu! tak lepiej i dla niego i dla pani — zapewniała moja gospodyni.

— Chociaż Ilford daleko, będą jednak mogła odwiedzać je codziennie.

— Oczywiście, o ile pani po myśli trzywiorstowa wyprawa codziennie.

— A gdy dostanę dobre miejsce lub zajęcie i zarobię trochę pieniędzy, to wezmę je znów do siebie i najem kogoś do karmienia — i wtedy będzie już ciągle ze mną.

— Dlaczegożby nie? — rzekła gospodyni. — Pani czyta, jak młody minister, a pisze, jak sama matryszyna.

W brawurze tedy ufnej mej miłości macierzyńskiej osusyłam lzy, stłumiłam łkania i poczęłam pakować ubranka mego maleństwa, wmałwiając w siebie, iż jestem prawie szczęśliwa.

Sakiewka moja była bardzo szczupła na ten czas. Po zapłaceniu należności gospodini i innych wydatków miałam w niej zaledwie funta i parę szylingów.

Rozdział LXXXII.

O pół do ósmej dnia następnego byłam już gotowa do drogi.

Zanim wyszłam, rzuciłam na siebie przelotne spojrzenie w lustrze i sądzę, że oczy moje podobne były do nieba o brzasku — gdy radosne promienie zesnują się z mgłami poranku.

Wmówiłam jednak w siebie i zmuszałam się do wiary, że, odkąd mam dziecko, nie byłam nigdy szczęśliwsza. Byłam przeświadczona, że robie jaknajlepiej dla niego. Byłam również przeświadczona, że robie jaknajlepiej dla siebie, bo cóż jest słodsze dla matki nad pieczę dla swego dziecka?

Gospodyni moja powiedziała mi, że do Ilfordu jest dziewięć wiorst; wyliczylam sobie, iż z przesiadaniem odbyłabym tę drogę omnibusem za szylinga. Szyling jednak był dla mnie obecnie wartością, z którą się trzeba liczyć, postanowiłam więc odbyć tę drogę niechotą.

Emilka ze zwykłą swą przedsiębiorczością ofiarowała mi się nieść dziecko aż do rogu ulicy Ruyswater, tam pożegnała mnie, wycalowawszy dziecko namiętnie.

— Niech nani idzie prościutko, jak strzała, nie zabłądzi pani napewno — rzekła na rozstanie.

Był to jeden z tych pięknych poranków końca lipca, gdy powietrze

jest świeże i słońce łagodne, i gdy lato, nawet tu w Londynie, nie zdąży jeszcze zmiąć się i zakurzyć.

Zdało mi się, że sama jestem lekka, jak światło. Włożyłam do torebki butelkę z mlekiem, a zawiniątko z rzeczami dziecka przewiesiłam sobie przez rękę, nie miałam więc nic do niesienia w rękę, prócz samego dziecka, i po raz pierwszy nie uczulam zroła ciężaru.

Na ulicach zachodniej strony miasta było niewiele ludzi o tej wczesnej porze, nieliczni również konni jeźdźcy w parku, i gdy m doszła do wielkich domów w Wrót Lankasterskich, ujrzałam, że, chociaż słońce świeciło już mocno w okna, sztory były jeszcze przeważnie opuszczone.

Musiłam iść wolno, gdyż było już wpół do dziesiątej, gdy m doszła do Łuku Marmurowego. Tu napotkałam pierwszy potok krzyżujących się wozów targowych, lecz jakiś nieznajomy, widząc mnie z dzieckiem, wiał mnie za rękę i przeprowadził bezpiecznie.

Wielkie „śródmieście“ Oksfordzkiej ulicy było już o tej porze w pełnym przypiwieniu. Ludzie wychodzili z rur i ze stacyj podziemnych kolei i wdrapywali się na autobusy. W wirze tym atoli nikt mnie nie ropchnął ani nie potracił. Kobieta z dzieckiem na rękę jest, jak królowa. Wszyscy rozstępują się przed nią.

Raz czy dwa razy zatrzymałam się, żeby się pogapić na magazyny. Niektóre wystawy magazynów móm były pełne prześlicznych kostymów. Nie pożądałam ich jednak. Przypomniały mi się drogie kostyummy, jakiego kupiłam sobie w Kairze: jakże mało przyniosły mi szczęścia! A przytem czułam, że mam wszystko mienie świata u siebie na rękach.

Temniemniej odezwała się we mnie cała natura kobieca, gdy m przechodziła koło magazynów z ubraniami dziecinnymi. Widziałam już naprzód ten czas, kiedy moje dziecko, ubrane w piękne szatki, jak oto te w oknach, będzie biegalo po parku lub zbierało kwiatki w ogródku pani Oliver.

Wielka ulica była bardzo długa i zdawało się, że nie będzie miała końca. Sądzę atoli, że musiałam być ciągle świeża i szczęśliwa, bo, gdy m przechodziła przez dzielnicę cudzoziemska Soho, przypominam sobie, iż dwóch młodych kelnerów włoskich, stojących we drzwiach kawiarni, rzuciło sobie pytanie w ich języku, które z nas (ja czy dziecko) było „bambinem“. Na to uśmiechnęłam się, zwracając ku nim lico.

Zanim jednak doszłam do Chancery Lane, dziecko poczęło płakać, dopominając się pokarmu. Skręciłam tedy w wąską aleję ogrodów Linceoln'a i tam, siadwszy naławeczce, dałam dziecku butelkę z ssakiem. Była wtedy godzina dziesiąta, słońce było już wysoko, i dzień stawał się gorący.

Cisza tęskna ogrodu po hałasie i szumie ulicznym skusiła mnie do pozostania dłużej, niż zamierałam, i kiedy m znów ruszyła w drogę, czułam, że odpoczynek pokrzepił mnie zupełnie. — zanim jednak doszłam do wiaduktu Holborn, — zmęczenie znów zaczęło opanowywać mnie.

Musiłam być w pobliżu jakiegosi wielkiego szpitala, gdyż pielęgniarki szpitalne snuły się teraz bezustannie, i jedna z nich, która szła tą samą, co ja, drogą, zbliżyła się do mnie i zapytała, czy pozwolę jej ponieść trochę dziecko.

Wyglądała tak słodko i po macierzyńsku, iż dałam jej dziecko, i zśliśmy razem, rozmawiając ze sobą.

Zapytała mnie, czy idę daleko. Odpowiedziałam, że nie, tylko na drugi koniec Londynu, na skraj okolicy, do Ilford.

— Ilford! — zawołała. — Ależ to całe wiorsty i wiorsty drogi! Wsiadzie pani do omnibusu w Aldgate, potem przesiadzie się pani do Bow, a stamtąd tramwajem przez Stratford.

Odpowiedziałam jej, że przekładam podróż pieszą, ponieważ jestem dobrą piechurką, rzuciła wtedy na mnie śledczy wzrok, lecz już nic nie rzekła więcej w tym przedmiocie.

Zapytała mnie następnie o wiek dziecka i czy je sama karmie. Odpowiedziałam, że dziecko ma sześć tygodni i że jestem zmuszona odstawić je od piersi, ponieważ jestem watła i t. d.

— A więc może pani odnosi je do mamki — rzekła. Odpowiedziałam, że tak i że dlatego właśnie udaje się do Ilford.

— Rozumiem, — rzekła z ponownym spojrzeniem badawczym i wtedy jasno odczułam, iż utworzyła sobie własne zdanie o tem, co mi się zdarzyło.

Gdyśmy doszły do olbrzymiego budynku z lewej strony ulicy, gdzie przez szerokie wrota wchodzili ciągle i wychodzili posługacze szpitalni i siostry miłosierdzia, rzekła mi, iż jest jej bardzo przykro, że nie może nieść dziecka dłużej, ale musi iść do szpitala, gdzie czeka już na nią lekarz.

— Mam nadzieję, że mamkę znajdzie pani dobra, bo nie zawsze tak bywa, wie chyba pani o tem.

Gdy pielęgniarka oddała mi, nie byłam już tak szczęśliwa. Zawiniątko na mojej ręce ciężyło mi znacznie więcej, niż przedtem, i nogi poczynają się chwiać podemną.

Staralam się jednak podtrzymać w sobie otuchę — i tak doszłam do natłoczonego pasażu Nowych Wrót, z ich staremi okrutnymi więzzeniami, ze skrajem kościoła Św. Pawła i Św. Marcina.

DCN.



Załatwia zlecenia telefoniczne od 1/2 funta Herbaty i 5 funtów Cukru, zaś pocztowe od 5 funtów. Ceny hurtowe.

B. TURLIK
140, Marszałkowska 140.

Bracia K. i C. Popowy

Specjalny Magazyn Herbaty

HEMOGEN
Dla dorosł. Dla dzieci. **MAGISTRA**
KLAWE
Środek krwiotwórczy zwiększa apetyt, przysw. sily, wzmacnia układ nerwowy.
Ski. gł. 10, p. Św. Aleksan. Apteka.

Klebon
(DLA CHOROBY NA CUKRZYCĘ)
PRZEDSIĘWZIĘCIE
PIEKARNI BOWEJ & S.
Bozy-Szajki 63 Y.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!
STEFAN KRZYWOSZEWSKI
„ROZSTAJE”
KOMEDYA W 3-CH AKTACH.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

S. HISZPAŃSKI w SZEWC
Warszawa, Krak. - Przedm. № 7.
Istnieje od 1838 roku. 9221


Bryczek, Wołanów, Kurośówek, Koszyków dwukółek wielki wybór gotowych, oraz fabryka przyjmuje powozy do odnowienia. Wyrabia: Koła, furgony, platformy i t. p. Warszawa, Szpitalna № 10 - Jamiołkowski.

Termometry — Manometry
Przyrządy fizyczne — Roboty mechaniczne wykonywa
Stanisław Straus Jerozolimska 33.
Fabryka egzystuje od 1886 roku. Przeniesiona z Nowego-Swiatu Filiji nie posiada — Uwaga na adres.

Szczegółowa z kroniką wojny
Mapa Europy środk. kop. 80 i 50 apy: Król. Polsk. rb. 1.50 i 2.50, Europy Polsk. kop. 60, Litwy i Rusi rb. 3. Atlas powsz. rb. 2.
J. M. BAZEWCZ, Mazowiecka 5.

OD BÓLU GŁOWY
VERWOMIGREN MOTOR
W OPŁATKACH
Dozwolony przez Kałę Medyczną. Dla odróżnienia od wielu leków o zbliżonej nazwie, zwracamy uwagę, że nasz środek leczniczy znajduje się w sprzedaży tylko w opłatkach opatrzonej naszą firmą.
Warsz. Tow. Akc. „MOTOR” Marszałkowska 23.

Hurtowy i detaliczny skład papieru
„WŁADYSŁAW BEDNAWSKI”
8914 Właściciel **A. SZTURM.**
Warszawa, Miodowa № 2. Telefon 72.

poleca: Materiały piśmienne i rysunkowe. Księgi buchalteryjne, Rejestra gospodarcze, Druki wszelkiego rodzaju. Albumy do fotografii, do kart pocztowych. Obstalunki z prowincji załatwia się odwrotną pocztą
PRZEDSIĘBIORSTWO **ELEKTRYCZNE** **Inżyniera R. ANDRZEJEWSKIEGO**
w Warszawie, Chmielna № 35. Telefon 110-17.
INSTALACJE URZĄDZEŃ ELEKTRYCZNYCH, PROJEKTY, PLANY I OBLICZENIA.

Stanisław Szalay
WARSZAWA
Chmielna № 40,
Telef. 20-28.
SKŁAD FOTOGRAFICZNY.
Latarnie czarnoksięskie
PRACOWNIA i WYNAJEM PRZEZROCZY.

PENSYONAT „ZDROWIE”
Pokoje komfortowe, umeblowane, pojedyncze i wspólne. Kształcącym się panienkom zapewnia się opiekę. Czystość wzorowa, kuchnia urozmaicona, na żądanie dyetetyczna. Obiady dla przychodzących i przysyłających. 8791
Sienna № 9 m. 6, telefon 237-24

OMEGA

"OMEGA" ROZPOWSZECHNIŁ SIĘ Z SZALONĄ SZYBKOŚCIĄ

ZEGARKI
„OMEGA”
ZŁOTE, SREBRNE i STALOWE.
9342
Dostać można w lepszych składach zegarmistrzowskich w Warszawie.

Przy Szkole **M. RYCHŁOWSKIEGO**
(8-KL. GIMNAZYUM I 7-KL. SZKOŁA REALNA).
Pensjonat dla uczniów pod osobistym kierunkiem dyrektora szkoły i przy udziale stałego pedagoga-wychowawcy. Klasy przygotowawcze dla dzieci nieumiejących czytać od lat 7. Książęca № 4. Tel. 52-46.

MEBLE GOTOWE
od najskromniejszych do najwykwintniejszych poleca **TANIO** majster stolarski
Józef Trojanowski
wieloletni dostawca mebli do magazynu firmy **K. Załęski i S-ka.**
WARSZTĄTY I MAGAZYN
Chłodna 46. Warszawa. Tel. 235-04.

VINOLIA
MYDŁA WYTWARZANE PRZEZ
The Vinolia Company
W LONDYNIE I W PARYŻU
są doskonałością w sztuce mydlarskiej i powinny się znajdować na toalecie każdej wytwornej damy. 9117
Do nabycia w pierwszorzędnym perfumeryach.
SKŁADY: Moskwa, Chlebnyj 2. St.-Petersburg, Fontanka 103. Odessa, Ekaterininska 19.
Skład dla Królestwa: Warszawa, Kaliksta 22. Tel. 115-13.

!! Dla Sanitarjuszy !!
Krótki rys ratownictwa
napisał dr. Józef Zawadzki
Popularny podręcznik, niezbędny dla pielęgnujących chorych i rannych, z licznymi ilustracjami w tekście.
Do nabycia w administracji „Świata” ul. Zgoda 1.
Cena 60 kop.

Pracownia Współdzielcza ubiorów kobiecych i dziecięcych.
KRUCZA № 19 m. 59.
Przyjmuje wszelkie zamówienia na roboty uowe, otwiera specjalny dział: Przerabianiu rzeczy zużytych, odświeżania ich, naprawiania bieleziny osobistej i stołowej,
PO CENACH MOŻLIWIE NAJNIŻSZYCH.
Posiada na składzie gotowe mundurki i fartuszki dla pensjonarek.